

# Stefania Kossowska

---

## Zakupy : sztuka w jednym (długim) akcie dla scen emigracyjnych i krajowych

---

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (7-8), 259-262

---

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# ZAKUPY

## SZTUKA W JEDNYM (DŁUGIM) AKCIE DLA SCEN EMIGRACYJNYCH I KRAJOWYCH\*

**Stefania KOSSOWSKA (Wielka Brytania)**

OSOBY:  
ZNAJOMA Z WARSZAWY  
JA  
SPRZEDAWCZYNIĘ

*Oxford Street. Godzina 10 rano. Thum.*

ZNAJOMA: To od czego zaczniemy? Od bucików?

JA: Doskonale. Od bucików.

ZNAJOMA: A może lepiej od płaszcza? Potem zobaczymy ile zostanie pieniędzy na resztę.

JA: Słusznie. Zacznijmy od płaszcza.

ZNAJOMA: Tylko koniecznie z takiej grubej zielonej wełny. Co to taka włochata. Widziałam taki płaszcz na jednej wystawie. Może tam pójdziemy.

JA: Chodźmy. Gdzie była ta wystawa?

ZNAJOMA: Nie pamiętam ulicy. Ale zaraz poznam. Po jednej stronie był sklep z bucikami, a po drugiej zdaje się apteka. (*Zastanawia się*) Może zresztą nie apteka, tylko coś podobnego. Już wiem! Sklep z telewizorami! Ach, żebyśmy ten sklep znalazły!

JA: Boję się, że to będzie trochę trudno. Może byśmy spróbowały najpierw w „C.&A.”, skoro już tu jesteśmy?

---

\* Pierwodruk sztuki ukazał się „Tygodniu Polskim” (sobotnio-niedzielnym dodatkiem do „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”) nr 1 z 4 stycznia 1964 r. Nie udało się potwierdzić, by kiedykolwiek była grana lub czytana na wieczorze literackim albo w teatrze radiowym. Nigdy też, w żadnym tekście, ani wywiadzie, Stefania Kossowska nie wspominała o swoim debiucie dramatycznym. Utworu tego nie zanotowała literatura dotycząca dramaturgii emigracyjnej, por.: L. Kielanowski, *Słowo i ciało (scenopisarstwo polskie na uchodźstwie)*, Pamiętnik Literacki (Londyn) 1976 t. 1 s. 69–96; *Teatr i dramat polskiej emigracji 1939–1989*, praca zbiorowa pod red. I. Kiec, D. Ratajczakowej, J. Wachowskiego. Poznań 1994.

ZNAJOMA: (zdecydowanie) To nie to „C.&A.”.

JA: (zaskoczona) Jak to „nie to”?

ZNAJOMA: Bo pani Janka mi powiedziała, żeby nic nie kupować w tej filii, że tu sama tandeta. Tylko w tamtej drugiej.

JA: (z podziwem) Tyle lat tu mieszkam, a tego nie wiedziałam! Ta pani Janka musi dobrze znać Londyn?

ZNAJOMA: No Jakże! Już dwa razy tu przyjeżdżała z Warszawy do siostry.

JA: (kusząco) Co nam szkodzi jednak tu wejść i rozejrzeć się co mają?

ZNAJOMA: Jeśli pani uważa, że nie szkoda czasu...

(Wchodzę zdecydowanie pierwsza do sklepu. Przebijamy się do działu płaszców. Dzieciątki rządów, setki płaszców.)

JA: (tryumfalnie) O, widzi pani, jest taki zielony włochaty. Czy o takim pani myślała?

ZNAJOMA: (niechętnie) Podobny. Nie ten sam kolor.

JA: Może by pani jednak zmierzyła... Żeby się tylko przekonać, czy pani w tym rodzaju dobrze.

ZNAJOMA: (nadaśana) Jeśli pani na tym zależy...

(Sprzedawczyni podaje płaszcz z wieszaka.)

ZNAJOMA: Jak to wykończone! Nie mówiłam, że tu tandeta?

JA: (jeszcze łagodnie, ale przez zaciśnięte zęby) Bo to bardzo tani sklep. Jeden z najtańszych. I tak wydaje mi się, że mają ładne rzeczy jak na te ceny. Ale przecież możemy iść do lepszego sklepu.

ZNAJOMA: Gdzie pewno będą zaraz odpowiednie ceny! Tak jakbym ja sobie mogła na to pozwolić! Ale takiego świństwa nie wezmę. Niech jej to pani powie. I że wstydziłabym się taką rzecz przywieźć do Warszawy. Co, nie chce pani powiedzieć? Boi się jej pani?

JA: (do sprzedawczyni) Mojej znajomej bardzo się ten płaszcz podoba, ale jeszcze musi się zastanowić. Thank you.

SPRZEDAWCZYNI: Thank you.

ZNAJOMA: Widzi pani, że się nie obrazila.

(Przebijamy się do wyjścia.)

JA: Chce pani teraz pójść do tego drugiego sklepu „C.&A.”? Tak? To może wsiądziemy do autobusu, bo to dosyć daleko.

ZNAJOMA: Ach, nie, przejdziemy się. Może po drodze znajdzie boty.

(„Przechodzimy się”. Posuwamy się w gęstym tłumie parę kroków na minutę. Stajemy przed każdą wystawą.)

JA: (z nadzieją) O, widzi pani jakie ładne boty?

ZNAJOMA: Nie, za niskie.

JA: (nie tracąc nadziei) Tam za nimi pełno tych wysokich, jakie teraz modne.

ZNAJOMA: Okropne. Nigdy bym ich nie nosiła. Ja chcę takie trochę wyższe. Coś w środku między jednymi i drugimi.

JA: *(tracąc nadzieję)* Może takie?

ZNAJOMA: Wysokość dobra, ale nie lubię takiego zapięcia. Może jeszcze poszukamy?

*(Szukamy. Godzina 11.15. Dochodzimy do „C.&A.”. Dział: płaszczów.)*

ZNAJOMA: *(z dumą)* Niech pani patrzy! Właśnie taki jaki chciałam. *(Ogląda. Rozczarowana)* Tylko tamten miał szeroki kołnierz, a ten ma wąski.

JA: Poszukamy, może znajdzie się taki z szerokim kołnierzem.

*(Szukamy. Znajduje się. Mierzymy.)*

JA: *(z entuzjazmem)* Doskonale w nim pani!

ZNAJOMA: Za krótki. I te rękawy, widzi pani? *(Wyciąga jak najdalej ręce z rękawów).*

JA: *(nieśmiało)* Zdaje mi się, że to taki fason, że one nie mają być całkiem długie. Ale może pani zmierzy większy numer?

*(Sprzedawczyni szuka większego numeru. Idzie do składu. Przynosi. Mierzymy.)*

ZNAJOMA: *(zadowolona)* O, ten lepszy. Tylko kolor jakby trochę inny, prawda?

*(Porównujemy. Identyczny.)*

ZNAJOMA: A ja jestem pewna, że inny odcień. Ja mam oko do kolorów. Niech już zresztą będzie. Tylko guziki wolałabym inne. Proszę, niech się pani zapyta czy nie mają takiego samego, tylko z innymi guzikami?

JA: Na pewno nie mają. Każdy fason powtarzają ze wszystkim szczegółami.

ZNAJOMA: Też! Ale co pani szkodzi zapytać się?

*(Pytam. Nie mają z innymi guzikami. Może być inny płaszcz.)*

JA: *(wpadam na pomysł)* Możemy kupić osobno guziki jakie się będą pani podobać i sama je pani zmieni.

*(Kupujemy. Płacimy. Pakują.)*

ZNAJOMA: Jak ona pakuje! Proszę jej powiedzieć, żeby tak nie miała.

JA: *(do sprzedawczyni)* Doskonale z tymi bibułkami. Naturalnie, że będziemy uważać. Na pewno się nie zgniecie. Thank you.

SPRZEDAWCZYNI: Thank you.

*(Oxford Street. Za kwadrans pierwsza.)*

ZNAJOMA: Może teraz buciki?

*(Wchodzimy do sklepu jednego, drugiego, piątego. Za wąskie. Za szerokie. Za szpiczaste. Za okrągłe. Za wysoki obcas. Za niski. Za brązowe. Za czarne. Może czarne z brązowym? Mierzymy.)*

ZNAJOMA: Te mi się dosyć podobają. Tylko prawy bucik za duży. Na pewno chcą mi wepchnąć parę, którą wszyscy mierzą.

*(Proszę o inną parę.)*

ZNAJOMA: Zaraz widać różnicę. Bardzo wygodne. Tylko, że zamsz będzie się wycierał. Jak pani myśli?

*(Już nic nie myślę.)*

ZNAJOMA: *(ogłąda buciki)* Już jest nawet trochę wytarty, niech pani spojrzy, tu, z boku. Może inna para będzie lepsza?

*(Sprzedawczyni przynosi inną parę.)*

ZNAJOMA: Te w porządku. Na razie. Jak pani myśli, wziąć? Chciałabym, ale o funta droższe niż sobie obliczyłam.

JA: *(w panice)* Ja tego funta chętnie dołożę, skoro się pani podobają.

ZNAJOMA: Skądże! Jakże bym mogła przyjąć!

*(Certujemy się.)*

JA: *(w końcu)* Jeśli pani tak będzie przyjemniej, to może pani tego funta kiedyś zwróci w Polsce komuś z mojej rodziny.

*(Godzi się. I tak zapomni. Sprzedawczyni wypisuje rachunek, pakuje buciki.)*

ZNAJOMA: *(zadumana)* A może lakierki byłyby praktyczniejsze?

*(Gwałtownie porywam paczkę i znajomą. Wychodzimy ze sklepu. Idziemy na kawę. Godzina 3. Oxford.Street).*

JA: Ach, zapomniałyśmy o botach! Trzeba je było kupić razem z bucikami.

ZNAJOMA: O, nie. Boty chcę kupić w takim szkockim sklepie, niedaleko Harrodsa. Moja kuzynka mi powiedziała, że wszystkie inne przemakają. Czy to blisko stąd?

JA: *(zrezygnowana)* Daleko. Musimy wziąć autobus.

*(Mijamy lustro. Widzę: kapelusz na bakier, świecący nos, wzrok błędny. Jedziemy noga za nogą. Scotch House. Nie ma takich ani podobnych botów. Wychodzimy. Knightsbridge. Prawie czwarta.)*

ZNAJOMA: Musimy chyba jechać z powrotem na Oxford Street.

JA: *(nieśmiało)* Może byśmy tu w pobliżu gdzieś spróbowały poszukać?

ZNAJOMA: Wolę tam. Pamięta pani? Oglądałyśmy tam jedne, które mi się dosyć podobały.

JA: *(słabym głosem)* Wracajmy na Oxford Street. Tak, to nasz przystanek. Dlaczego tak daleko? Bo jesteśmy na końcu ogonka.

*(Ambulans gdzieś się spieszy. Ściągam go rozmarzonym wzrokiem: łóżko! Spokój! Sklepy zamykają o 6-tej.)*